Ochrona lasów.

Niepodobieństwo w tak szczupłych ramach, jakie mamy do rozporządzenia, dać wyczerpujący, szczegółowy obraz tych wszystkich szkód, jakie cierpi las od świata owadów. Jest ich tysiące, więc ograniczamy się tu na wyliczeniu tych najpoważniejszych, opisując ich rozwój i rodzaj szkód, jakie wyrządzają poszczególnym rodzajom drzew tak iglastych, jak i liściastych.

Ażeby się jednakże już nie powtarzać, opuszczamy opis takich, o jakich była już tu mowa w sporadycznie drukowanych artykułach, w poprzednich numerach „Ech Leśnych", gdzie opisywano życie, rozwój i szkody, wyrządzane przez korniki.

Z kolei nie możemy pominąć jednego z niebezpieczniejszych szkodników, tamującego prawidłowy rozwój drzewa tak sosnowego, jak i świerkowego, a jest nim szeliniak sosnowiec — owad często spotykany, o pokrywach koloru ciemno-brunatnego, przez które lekko znaczą się dwie poprzeczne linje albo prążki koloru żółtego oprócz nieregularnie rozrzuconych kropek takiegoż koloru. Jak widzimy na rysunku pod I, owad ten posiada dosyć długi ryjek, przy końcu nieco rozszerzony, skąd wyrasta para rożków.

Roi się szeliniak w kwietniu i w maju na porębach sosnowych lub świerkowych i w tych to miesiącach zapłodnione samice składają jaja na korze i korzeniach niewykarczowanych pni.

Wylęgłe gąsieniczki wgryzają się pod korę, gdzie toczą nieregularne chodniki i jeszcze przed zimą dorastają do swojej maksymalnej wielkości; z wiosną następnego roku przepoczwarzają się, a w kwietniu wylatuje owad doskonały.



Rys. 1.

Owad ten napada kultury tak sosnowe, jak i świerkowe i wygryza nietylko wzdłuż strzały drzewka ale i na jego gałęziach głębokie rany,

sięgające nieraz do bielu, co powoduje chorobę, a z czasem powolne obumieranie młodzieży.

Przy zaniedbaniu koniecznych ostrożności, nie oczyszczaniu, np. w porę zrębów po eksploatacji, sami poniekąd przyczyniamy się do rozwoju szeliniaka, który w sprzyjających warunkach stać się może powodem ogromnych klęsk.

Bardzo często możemy spotkać w drzewostanach sosnowych całe grupy drzew, na wierzchołkach i końcach gałęzi których pojawiają się skupienia mniejszych gałązek i igliwia, wyglądem przypominające jakby umyślnie przez ogrodnika ułożone bukiety. Nieproszonym takim ogrodnikiem w lasach są: cetyniec sosnowiec i cetyniec mniejszy.

Jak to możemy zauważyć na rysunkach, powiększonych wprawdzie, zasadniczych różnic pomiędzy nimi niema. Cetyniec sosnowiec wielkością jedynie przewyższa cetyńca mniejszego, ale ponieważ różnica ta wynosi jeden do jeden i pół milimetra, przeto trudno jest na pierwszy rzut oka ją określić.

Cetyniec sosnowiec, jest to mały chrząszczyk koloru błyszcząco-czarnego lub brunatnego, o rożkach i stopach rdzawo-czerwonych. Cetyniec zaś mniejszy, jak już wyżej mówiliśmy, różni się wielkością, a ponadto jaśniejszym kolorem.


Rys. 2.

Różnica pomiędzy nimi tkwi w sposobie życia. Kiedy cetyniec sosnowiec przeważnie żyje pod grubą i popękaną korą drzewa, gdzie toczy chodniki pionowe, to natomiast cetyniec mniejszy obsiada cieńsze części strzały i drzewa pod korą gładką toczy chodniki wpoprzek pnia lub grubszych gałęzi. Podobnie, jak jeden tak i drugi, roją się wczesną wiosną, bo już w marcu; cetyniec sosnowiec składa jajka na drzewach chorych, obumierających, ściętych lub też wywrotach, cetyniec mniejszy szuka drzew zdrowych.

Kiedy cetyniec sosnowiec, jako owad doskonały, wgryza się w zeszłoroczne pędy sosnowe i tu poniżej pączków szczytowych wyjada rdzeń, systematycznie posuwając się wgórę ku pączkom, jednak ich nie naruszając, to cetyniec mniejszy robi toż samo w pędach tegorocznych ale pączków nie oszczędza.


Rys. 3.

W ten sposób, pozbawione rdzenia pędy, przy lada wietrze łamią się i opadają. Napadnięte zaś przez cetyńce drzewo, broniąc się, stara

się zastąpić ubytek pędów wierzchołkowych przez silniejszy rozwój pędów przybyszowych, jakie tworzą owe bukiety, o czem wspominaliśmy na wstępie.

Jeżeli w dodatku zwrócimy jeszcze uwagę na okoliczność, że gąsieniczki obu cetyńców, przez robienie chodników, wzdłuż i w poprzek strzały idących, a sięgających często nawet w głąb bielu, utrudniają prawidłowe krążenie soków, tamując już rozwój drzewa, a przez wyjadanie rdzenia w pędach zeszłorocznych i tegorocznych przez owady doskonałe, powodują masowe obłamywanie pędów, a z tem kwiatów i szyszek, wówczas łatwo zrozumiemy, iż nie przeciwstawiając się temu, możemy doprowadzić z czasem do zniszczenia całe kompleksy drzewostanów sosnowych.

Zapobiegając nadmiernemu rozwojowi tych szkodników, należy zawczasu przed ich rójką zakładać drzewo pułapkowe, a tuż przed przepoczwarzeniem się gąsienic cetyńców, przez okorowanie tych drzew i spalenie kory niszczyć przyszłą generację.

X.

BRZOZA.

Nasza poczciwa brzózka, tępiona do niedawna we wszystkich kulturach, gdzie się zasiała z nalotu, uważana niemal za szkodliwy chwast leśny, dziś znowu powraca do słusznych i należnych jej praw.

Pisma leśne przepełnione były artykułami o olbrzymich szkodach, jakie brzózka czyni w kulturach szpilkowych przez tak zwane „biczowanie", szkody te jednak więcej widoczne były w specjalnych artykułach, niż w rzeczywistości w lesie...

Olbrzymie szkody, jakie poczyniła sówka chojnówka w czystych szpilkowych drzewostanach w ostatnich latach, zwłaszcza w Poznańskiem i na Pomorzu, dowiodły, że przed napadem szkodników, jak gąsienica sówki - chojnówki, odporność drzewostanów czystych szpilkowych, hodowanych sztucznie, t. j. przez sadzenie, lub siew ręczny, jest mniejsza, od odporności drzewostanów mieszanych.

To też brzózka nasza znowu otrzymała prawo egzystencji i chętnie przez leśników jest widziana i używana przy poprawkach starszych kultur szpilkowych, zwłaszcza na glebach uboższych.

Brzoza daje drewno zdatne niemal do wszystkiego, za wyjątkiem materjału budulcowego, a to z powodu szybkiego próchnienia, jest

dobrym opałem, jak również, nadzwyczaj cenionym materjałem kołodziejskim, a nawet używana i do wyrobu mebli, zwłaszcza brzoza, tak zwana „czeczota”, rosnąca jednak tylko na północy.

U nas na niektórych brzozach pojawiają się narośle w rodzaju wielkich guzów, których tokarze chętnie używają do swoich wyrobów, guzy te też nazywają się „czeczotą”.

Brzoza, jako czysty drzewostan, nie jest hodowaną, dlatego, że pomimo dość znacznej dochodowości, pod innym względem jest nieodpowiednim drzewem, a mianowicie, wyczerpuje glebę, dając wzamian bardzo słaby opad liści, niewielkich i cienkich, a tem samem, dających małą ilość ściółki, czyli jest mało użyźniającym glebę drzewem.

W naszych lasach mamy dwa gatunki brzozy: gruczołkowa i omszona. Ta pierwsza, brzoza gruczołkowa (betula verrucosa), rośnie na wszelkich gruntach, nawet suchych piaskach.

Drugi zaś gatunek, rośnie tylko na gruntach wilgotnych i mokrych.

Brzoza używana jest nie tylko przy poprawkach, jak to już wyżej powiedziano, starszych kultur szpilkowych, lecz znakomicie się nadaje, jako przymieszka z sosną, lub też jako drzewo pomocnicze, przy wychowywaniu wrażliwych gatunków, jak dębu, buku i jodły.

Brzoza, jako typ drzewa przejściowego, pod osłoną którego wyrasta i wzmacnia się typ panujący, jest bezsprzecznie znakomita. Używana jest również przy obsadzaniu dróg i pasów ochronnych od pożarów.

Siejemy brzozę tam, gdzie inne drzewa rosnąć już nie chcą i dopiero pod osłoną wyrosłych brzózek sadzimy inne drzewa.

Lotne piaski wzmacniamy specjalną łozą, z domieszką, wszędy posadzonej brzózki, słowem brzózka, to nasze polskie drzewo, tak niewybredne co do gruntu, a tak pożyteczne, jako przymieszka drzewa liściastego do szpilkowych drzewostanów — jest nieoceniona.

Brzozę można zasiewać w szkółkach, w ten sposób, że przekopaną i dobrze oczyszczoną z chwastów ziemię, utyka się gęsto gałązkami brzozowemi z dojrzałemi już kotkami.

Czynność tę należy wykonać w lipcu, zaraz po żniwach, wtenczas bowiem kotki brzozowe dojrzewają i nasienie z nich rozsypuje się po całej szkółce.

Gałązki brzozowe do utykania szkółek, można obcinać, nie czekając zupełnego dojrzenia kotków, t. j. ścinać gałązki wtenczas, gdy kotki są jeszcze zielone. Gałązki z kotkami niezupełnie dojrzałemi — w szkółce dojrzeją, kotki zielone przybiorą kolor brunatny i nasionka się wysieją.

Szkółkę należy często podlewać, zwłaszcza w suche lato.

O ile w lesie mamy stare brzozy, rosnące zdala od innych drzew, to możemy szkółkę brzozową urządzić pod takim drzewem, skopując i spulchniając grunt wokoło brzozy.

Na takich spulchnionych kawałkach ziemi znakomicie obsiewają się brzózki i mogą służyć po dwuch, trzech latach, jako sadzonki do kultur.

Sadzonki brzozowe używają i takie, które z nalotu zasiewają się po lesie, należy jednak, przy wykopywaniu ich, uważać, by korzenie nie były poobrywane i nigdy nie należy pozwalać takie dziczki (sadzonki) wyrywać, lecz powinny być koniecznie wykopywane.

Młodze przesadzane mogą być w wieku do 4 lat, a nawet i starsze uważać jednak należy, by nie brać do przesadzania takich, na których od dołu kora już bielić się rozpoczyna, takie bowiem sadzonki trudniej się przyjmują, częściej ulegają uschnięciu.

Przy sadzeniu brzózek na glebach piasczystych i suchych, jak również na drogach i wogóle miejscach, gdzie wiatry poruszają piasek, należy dołki przy sadzeniu brzózki zasypywać zupełnie, wiatr bowiem w przeciwnym razie, naniósłby zadużo piasku i drzewko okazałoby się za głęboko posadzone, co znowuż szkodliwie by się odbiło na jego przyjęciu się i wzroście.

Elpe.

LEON PĘSKI.

Pogadanki o łowiectwie.

Lipiec, to czas polowań na kaczki i sposobność dla myśliwych nastrzelania się dowoli, dania przytem wielu strzałów chybionych, bo strzał do kaczki wcale do łatwych nie należy, zwłaszcza, gdy się strzela do szybko i wysoko ciągnących, małych cyraneczek, a nawet sporych krzyżówek.

Polowanie na kaczki jest najrozmaitsze, bo poluje się i z łódki i brodząc po pas w wodzie, z naganką i z psami. To też polowanie to należy do jednych z najprzyjemniejszych, a ponieważ wypada po dłuższym wypoczynku i zawieszeniu strzelby na kołku, tembardziej jest upragnione i oczekiwane.

Każdy leśnik, miłujący łowiectwo, pamiętać powinien i pilnie przestrzegać, by kaczki, które na wiosnę z dalekich stron do nas przybędą, mogły spokojnie się zagnieździć, poznosić jaja i wyląc młode.

Leśnik powinien bacznie zwracać uwagę na wałęsających się po bagnach pastuszków, którzy chętnie wyszukują kacze gniazda i zabierają jaja.

W tym niszczycielskim procederze pomaga im i pies wiejski, który, nie trzymany na uwięzi, urządza poszukiwania kaczych jaj, niszcząc takowe, to też powinien być bezwzględnie tępiony przez leśnika.

Kaczek mamy do 20 odmian, z których najpospolitsze a zarazem i najsmaczniejsze są: mała cyranka, większa od niej podgorzałka i dość spora krzyżówka.

Kaczki gnieżdżą się na gęsto zarośniętych bagnach, nad brzegami jezior i stawków, na wysokich kępach, a często nawet na suchych miejscach w lesie, a zdarzają się gniazda kacze i na drzewach, choć jest to rzadsze i do wyjątków zaliczyć można. W lesie, wśród wysokich sosen, znajdują się niewielkie jeziorka, właściwie bagienka, wody bowiem tam bywa zwykle niewiele, a zarośnięte są wysoką trawą, skarłowaciałą sosenką i usychającą brzózką.

Bagienka takie spotykają się nader często w olbrzymich naszych lasach na kresach wschodnich i podczas mej służby w lasach tych jeszcze przed wojną, często polowałem na kaczki na takich bagienkach o rozmaitych porach dnia, najczęściej we dwójkę z pieskiem swoim, który tak doskonale rozumiał zadanie, jakie miał do spełnienia, że kompletnie zbędne było mieć jeszcze kogoś, by kaczki na mnie napędzać. Stawałem na brzęgu bagienka, a piesek mój, ładny irlandzki seter, na moje skinienie puszczał się pędem, okrążając bagienko szerokiem kołem, na przeciwną stronę tegoż, właził w bagno, chlapiąc się po wodzie, a tem samem, strasząc kaczki, które zrywały się całemi stadami, a podnosząc się wgórę, przelatywały nademną.

Nie było to długie polowanie, bo najwyżej można było dać cztery strzały i kaczki już nie wracały tego dnia.

Na większych błotkach, porosłych szuwarami i oczeretem, urządzałem polowania na kaczki z naganką, przecinało się wówczas linję dla myśliwych wśród bagna, by móc widzieć i strzelać przelatujące, lub przepływające podloty. Należy jednak pamiętać, że przekoszone linje dla strzału, powinny być tak rozmieszczone, by myśliwy, strzelając, czy to do przepływającego podlotu, czy też do przelatującej kaczki, nie zranił śrótem myśliwego, stojącego na przeciwnym brzegu jeziorka.

Wogóle pamiętać należy, że najczęstsze wypadki zranienia myśliwych przez nieostrożny strzał, zdarzają się na polowaniach na kaczki.

Do nadzwyczaj przyjemnych należy polowanie na tak zwanych zlotach i przelotach, kiedy to kaczki stadkami, parami, lub pojedyńczo, ciągną z rozmaitych stron, ku miejscom, obfitującym w żer.

Polesie, to prawdziwa ptactwa wodnego kraina, i na ptactwo to w najromaitszy sposób tam polowałem.

Często wyjeżdżałem na zloty i przeloty kaczek, zwykle wieczorem łódką, rzeczułką aż ku łąkom, które częściowo zalane, były ulubionem miejscem kaczych zlotów, widocznie bowiem znajdowały tam obfity żer.

Wadą takich polowań, jest zbyt późny ciąg kaczek, tak, że nieraz, na ciemno-granatowem, prawie czarnem tle nieba, ledwie odróżnić można nadlatujące sztuki.

Do najprzyjemniejszych polowań na kaczki, zaliczam polowanie z czółna, jak również i polowanie na wydeptanego, brodząc po wodzie, porośniętej szuwarami i strzelając porywające się kaczki, strzały do których są nadzwyczaj łatwe. Próbowałem też nieraz polować na gęsi, żerujące stadkami na łąkach lub polach, zwłaszcza z dojrzewającym owsem, lecz trudność podejścia ostrożnych tych ptaków była tak wielka, że nie wiele razy udało mi się dojść do strzału.

Pamiętam zdarzenie z lat moich młodzieńczych, gdy w nagrodę za dobrą naukę otrzymałem od ojca jednorurkę, nabijaną przez lufę, z którą chodziłem na polowanie z wielkim moim przyjacielem — Sidorem, zawołanym myśliwym.

On był pierwszym moim nauczycielem łowiectwa, prawdziwym praktykiem i wielkim znawcą natury zwierzęcej i wszelakiego ptactwa, uczył mnie wabić, podchodzić i podkradać się do zwierzyny, obserwować jej życie, nie psuć gniazd ptasich, a miłować te stworzenia boże.

Włócząc się kiedyś po skoszonej łące, ciągnącej się wzdłuż jeziora, zobaczyłem zdaleka stadko pasących się gęsi.

W jednej chwili leżałem plackiem na ziemi i pełzając od kopicy do kopicy ustawionego już siana zbliżałem się coraz bardziej, do pasącego się stadka.

Lecz oto ostatnia kopica, do której podpełzłem. Cicho podniósłszy się, wyjrzałem, i ku wielkiej swej radości, zobaczyłem o jakie kroków trzydzieści, stojącą na czatach starą gęś.

Kręciła ona niespokojnie głową, przeczuwając, że coś niedobrego się święci, jednakże tak cicho podpełzałem, że nie przeczuła widocznie, co się za kopicą siana kryje.

Wymierzyłem dokładnie i huknąłem strzałem z potężnego swego garłacza.

Dym, narazie, wszystko mi zasłonił, po chwili jednak ujrzałem w górze stadko gęsi, kierujące się wprost ku wsi.

Zabrawszy upolowaną gęś, poszedłem, dumny ze swego dzieła, do domu.

Na połowie drogi, spotkał mnie stary, mój przyjaciel, Sidor, wołając z dobrotliwym uśmiechem na twarzy: — „A do czego to strzelałeś?”.

Z trjumfem podniosłem gęś do góry, pokazując ją Sidorowi. Ten jednak, obejrzawszy ją, pokręcił jakoś dziwnie głową, a śmiejąc się, poklepał mnie po ramieniu i rzekł wesoło:

„Tłusta gęś, ładna gęś, tylko to nie dzika, a swojska i nasza popadia *) zmartwi się, gdy wieczorem nie doliczy się jednej sztuki, bo to jej gęsi latają na staw i sianożęcie...”.

Na czasie.

(Ciąg dalszy).

W każdej sprawit, jaką by ona nie była, zawsze pierwszy początek trudny. Podobnie też ma się z akcją, zapoczątkowaną przez nas, t. j. projektem zajęcia się hodowlą gąsienic jedwabnika.

A tem trudniejsza jest ta akcja jeszcze i z tego powodu, że przedewszystkiem, pragnąc nawet w skromnych rozmiarach, zupełnie nie przeszkadzających w innych zajęciach, poświęcić nieco wolnego czasu hodowli gąsienic jędwabnika, rozpocząć musimy ją od stworzenia podstaw, t. j. od wypielęgnowania odpowiedniej ilości drzew morwowych, których liście dają pożywienie gąsienicom, bo bez dostatecznego zapasu o hodowli tej marzyć nie możemy.

Wszystko zaś to, co tylko obliczone na dalszą metę i nie daje natychmiastowych korzyści, nietylko, że zniechęca nas, ale jeszcze budzi zwątpienie w innych i dlatego właśnie potrzeba silnej woli, aby wytrwać do końca i rozpoczęte dzieło doprowadzić do pomyślnego rezultatu.

Pewnie, że byłoby to znacznem uproszczeniem, gdybyśmy np. posiadali laski morwowe, ale ponieważ tych nie mamy, to obowiązkiem naszym brak ten jaknajrychlej wypełnić.

Z dniem każdym coraz głośniej rozlegają się po pismach nawoływania pod adresem społeczeństwa, do podjęcia akcji w kierunku zdobycia dla kraju nowej gałęzi przemysłu. Wszędzie jednakże słyszymy i czytamy o tem, że pragnąc przyswoić sobie ten przemysł, z jakiego inni dawno już czerpią dochody, musimy przedewszystkiem starać się o zbudowanie podstaw, czem jest, jak to już niejednokrotnie mówiliśmy i mówimy, drzewo morwowe.

---

*) Żona księdza parocha prawosławnego.

A ponieważ nikt nie jest więcej powołanym do tego dzieła, jak zastęp leśników, którzy nawet w warunkach nieszczególnych, zawsze przy dobrych chęciach potrafią znaleźć odpowiedni teren na kulturę drzew morwowych, przeto uważaliśmy za właściwe, przez rozesłanie tytułem próby nasion morwowych, zapoczątkować akcję w tym kierunku. Zbiorowym wysiłkiem jednostek powstają wiekopomne dzieła, niechaj i w tej akcji, wszczętej dla ogólnego dobra kraju, nie braknie cegiełki leśników.

Jesteśmy niewymownie ciekawi, czy czytelnicy nasi poszli za wskazówkami, jakie daliśmy na tem miejscu i pielęgnują siewki, jakie winny już powschodzić?

X.

L. MACISZEWSKI.

Na gajówce.

(Ciąg dalszy).

To stałe prześladowanie Zosi przez Szymka opowiadaniem o rzekomych zamiarach różnych chłopców wiejskich, miało swój cel ukryty, Zosia bowiem, acz bardzo uprzejma i grzeczna dla Szymka, właśnie tą obojętną grzecznością, nie dopuszczającą do żadnych poufalszych wynurzeń, doprowadzała go do bezsilnej wściekłości. W pojęciu o swojej wartości zdawało mu się, że Zosia, córka niezamożnych rodziców, obarczonych kilkorgiem drobnych dzieci, powinna uważać sobie za wielkie szczęście, że on, przecież niebyle kto, bo Szymek Trąbka, ubiega się o jej względy.

Lecz chłód z jej strony, z jakim stale się spotykał, kazał mu szukać przyczyn, skąd mógł powstać?

Nie mógł bowiem darować Zosi, że ta, będąc tylko córką, podobnie jak on, gajowego, ma się za coś znacznie lepszego i traktuje go grzecznie wprawdzie, ale obojętnie i zimno.

Zajęcie się Zosi kimkolwiek, stanowczo wykluczał, uważając to za niemożliwość, znał bowiem jej życie i wiedział o tem, że prócz niego, nikt inny, kto mógłby mu szkodzić w jego zamiarach, w domu jej rodziców nie bywał.

Wprawdzie Zosia od czasu do czasu odwiedzała w lasach książęcych, położonych w sąsiedztwie, dom p. Miazgi, nadleśniczego tamtejszego, który był szczęśliwym ojcem dwu dorastających córek, Joanny i Marji, z którą przyjaźniła się Zosia, oraz syna Antoniego, czternastoletniego ucznia, ale ten ostatni, jako rywal, nie mógł być brany w rachubę.

Wiedział Szymek i o tem, że rok rocznie w tem nadleśnictwie bywało po kilku praktykantów, inaczej „paniczów”, lecz ci ostatni, trzymani przez nadleśniczego w pewnych karbach, zdala stali od życia towarzyskiego w tym domu i zaledwie znali z widzenia córy swego zwierzchnika, który, jako przezorny i ostrożny ojciec, wolał oszczędzić dzieciom rozczarowań, a sobie kłopotów i z tej racji zatamował raz na zawsze możliwość zetknięcia się paniczów z pannami. Nawiasem mówiąc, było to tylko złudzenie p. nadleśniczego, który, układając regulamin, zapomniał o tem, raz, iż sam kiedyś był młodym, a powtóre, że każdy leśnik z zamiłowania stał o dziewięćdziesiąt dziewięć procentów wyżej pod względem przebiegłości od przeciętnego wymoczka miejskiego. Taki leśnik, zżyty i wpatrzony w naturę, śledząc tajemnice świata roślinnego i zwierzęcego, uczył się wiele i wiele korzystał... I dlatego zrobiłby nadleśniczy wielkie oczy, gdyby przyszło mu na myśl wziąć na spytki usługującego paniczom Janka, ten bowiem wyjaśniłby, jak niejednokrotnie wesoło bawiono się w nadleśnictwie podczas dłuższej nieobecności nadleśniczego w czasie objazdów kontrolnych, chociaż zawsze pod okiem i opieką dostojnej jego żony, która, jako matka dbająca o przyszłość córek, biegunowo różniła się w poglądach z mężem.

O tem wszystkiem Szymek nie wiedział, lecz na wszelki wypadek postanowił śledzić Zosię, zauważywszy, iż w ostatnich czasach Zosia coś byt często odwiedzała swoje przyjaciółki, tymczasem zaś mścił się na swój sposób, prześladując ją urojonymi kandydatami do jej ręki. Usiłował ją poniżyć i dlatego celowo wyszukiwał nazwiska samych urwipołciów, jakich każda wieś ma poddostatkiem, aby dać jej odczuć i podkreślić, że, jako córka gajowego, nie może i nie powinna marzyć o lepszym losie, a jeżeli on, Szymon Trąbka, ex sierżant, raczył łaskawie spojrzeć na nią i ubiega się o jej względy, musi to przyjąć, jako szczęście, zesłane przez Boga.

Pomimo tej ślepej wiary w swoją wartość, postanowił jeszcze zasięgnąć rady u znanej na całą okolicę znachorki, Agaty, która nierzadko zgłaszającym się do niej o radę, udzielała cennych wskazówek w różnych dolegliwościach. Baba ta, nie w ciemię bita, a przytem świadoma bolączki Szymka — ta nie była dla nikogo tajemnicą, a jeden tylko Szymek miał złudzenia, iż umiał dobrze ukryć swoje zamiary — pragnęła wyzyskać położenie, wiedząc o tem, że Szymek ma pieniądze. Kazała mu więc być cierpliwym i dać jej możność znalezienia właściwego ziela, przy pomocy którego uda się zmienić zapatrywania dziewczyny.

Zosia natomiast ze swojej strony nie zdradzała zupełnie zamiaru badania przyczyn Szymkowego zainteresowania się jej osobą. Wszelkie nadskakiwania przyjmowała obojętnie do czasu, kiedy zniecierpliwiony Szymek niedwuznacznie dał do zrozumienia, że jest gotów się

żenić. Od tej pory nietylko, że unikała wszelkiej rozmowy na ten temat, lecz starała się, o ile to było w jej mocy, aby jaknajmniej z nim się spotykać. Wracając ze szkoły na gajówkę, bardzo często musiała nałożyć drogi, przesuwając się przez sąsiedni las książęcy, aby okrążyć Szymka, o którym wiedziała, że czatuje na jej drodze, aby się z nią spotkać i odprowadzić do domu.

Traf chciał, iż podczas jednej z takich wycieczek przez las sąsiedni, okrążających Szymka, niespodziewanie spotkała Witolda. Niespodzianka była tem większą, że Witold po bytności w szkole akurat w porze takiej, kiedy jej tam nie było, więcej się już nie pokazał.

— Wyjątkowo służy mi dziś szczęście — przywitawszy się, rozpoczął Witold. — Schwytałem już kilku łobuzów na kradzieży drzewa, a teraz znowu wpada pani w moje ręce, depcząc zagajniki, co nie może ujść bezkarnie i bez okupu się nie obejdzie.

Już samo pojawienie się Witolda w tem miejscu, dostatecznie zmieszało Zosię, a zapłoniona po same białka błękitnych ocząt, nie była w stanie w pierwszej chwili zdobyć się na odpowiedź.

Śpiesząc ku domowi, myślała nad rozwiązaniem zagadki, co pocznie wówczas, kiedy w końcu i rodzice zaczną namawiać ją, aby wyszła za Szymka? Przecież niejednokrotnie już słyszała, jak rodzice pomiędzy sobą o tem mówili. Na nauczycielkę liczyć nie może, bo jakkolwiek przekonana, że ta ją serdecznie kocha, to poza radą, aby czem rychlej składała egzamin nauczycielski, jako jedyne wyzwolenie z zależności, innej rady dać jej nie mogła.

Chaos tych myśli przerwał Witold, stając niespodziewanie na jej drodze i jakkolwiek żartem, lecz takim tonem domaga się okupu, iż Zosia, aczkolwiek nie rozumie intencji, lecz czuje niewieścim instynktem, że żart ten nie na miejscu.

Zebrawszy jednak odwagę, chce mu dać do zrozumienia, iż zbyt mało ją zna, aby to uprawniało go do zatrzymywania jej w drodze. Nie przestając więc iść, odrzekła:

— Zmuszona do nałożenia drogi, śpieszę się do domu i tak już ze znacznem opóźnieniem, co może wywołać niepotrzebnie niepokój matki, daruej pan przeto, że nie zatrzymując go dłużej, pożegnam.

— Ho, ho, tak łatwo się pani nie wywinie, przechodzenie przez kultury, gdzie niema drogi komunikacyjnej ani ścieżki, jak pani wiadomo, surowo wzbronione, miałbym się z pyszna, gdyby stary dowiedział się, że puszczam swobodnie szkodników chociażby takich miłych i sympatycznych, jak pani. Mogę jednak zrobić wyjątek, ale pod warunkiem, iż przyobieca mi pani w najbliższą niedzielę spotkać się ze mną w tem samem miejscu i o tej samej porze. Wszak tyle mam do opowiadania, a żałuję bardzo, że nie miałem szczęścia spotkania jej w szkole. Jestem

obcy w tych stronach, a za wyjątkiem pań nie znam nikogo. Panie byłyście pierwsze, jakie udzieliły mi łaskawie pomocy w dostaniu się do mojego obecnego miejsca pracy. Pragnąłbym bardzo podzielić się wrażeniami, jakich doznałem przy zetknięciu się z moją dzisiejszą władzą.

Oszołomiona niezwykłą propozycją Witolda, z miejsca chciała dać odpowiedź odmowną, lecz przyszło jej na myśl, iż spotkanie dzisiejsze może być zrządzeniem losu. Z naiwnością niezepsutego dziecka, sądziła, że Witold może dać skuteczną radę w jej trosce. Często myśląc o nim, wspominała i podziwiała jego swobodę w obejściu, niefrasobliwą wesołość, niewyczerpany zapas humoru, a nadewszystko, co jej imponowało, — to elokwencją, jakiej niejeden agitator wiecowy mógłby mu pozazdrościć.

Młoda niedoświadczona dziewczyna sądziła, że Witold naprawdę będzie umiał znaleźć radę, jaka pozwoli jej raz na zawsze pozbyć się niesympatycznych amorów Szymka. Kiedy z jednej strony przez wrodzoną kobiecą intuicję odczuła, iż propozycja Witolda spotkania się w lesie jest nie na miejscu, to natomiast z drugiej strony, zupełnie nie zdawała sobie sprawy z niewłaściwego kroku, pragnąc zasięgać rady w tak subtelnej materji, zaledwie, że tak powiemy, znajomego człowieka.

A kiedy nareszcie Witold, zniecierpliwiony przeciągającem się milczeniem, pragnąc ją ośmielić, zapytał:

— Czekam, p. Zofjo, okupu lub spełnienia obietnicy?!

— Umyślnie tutaj, w porze o jakiej pan mówił, przyjść nie chcę — odrzekła, — lecz będę bardzo rada, kiedy, powracając w niedzielę z nadleśnictwa, dokąd zaproszona jestem przez córki pana nadleśniczego, które będąc w kościele zabiorą mnie do siebie na resztę dnia, zechce mi pan towarzyszyć w powrotnej drodze do domu, bo jakkolwiek znam las i drogę, lecz zawsze będzie mi raźniej powracać w towarzystwie.

Dyskretnie zamilczała o tem, iż ma prośbę do niego, w mniemaniu, iż podczas drogi powrotnej znajdzie sposobność pokierowania rozmową w pożądanym dla siebie kierunku.

Kiedy Witold wyraził zgodę na propozycję, a równocześnie okazał niekłamaną ochotę odprowadzenia jej już teraz, uprzejmie podziękowała i pożegnała słowem — Do widzenia w niedzielę!

Dłuższą chwilę stał Witold w miejscu po odejściu Zosi, rozmyślając nad niespodziewanem spotkaniem. Obraz Zosi stale go prześladował, myślał o niej od czasu wspólnej podróży, ale kiedy dowiedział się od nauczycielki, której stosownie do zapowiedzi złożył wizytę, że Zosia jest córką gajowego, sąsiadującego z lasem książęcym, straciła w jego oczach cały dotychczasowy urok, bo chociaż osobiście pod tym względem wyzbył się średniowiecznych przesądów, to jednakże obawa przed matką, na wypadek rozgłosu, nader czułą na tym punkcie, znacznie

oziębiła jego zapał. Często myślał o niej, marzył o tem, że będzie mógł uciąć sobie flircik, jaki po warszawskich stosunkach, byłby na tem pustkowiu znakomitą atrakcją. Ale córka gajowego? Mamusia wyrzekłaby się jedynaka, a dopokąd musi korzystać z jej pomocy, winien do czasu szanować jej poglądy...

Ładna bo ładna, młoda, świeża, skromna, dorównywująca mu poziomem wykształcenia, ale przez wzgląd na matkę i jej poglądy, zamiar flirtu, jak rychło przyszedł, tak szybko poszedł.

Z jednym momentem dzisiejszego spotkania odżył w nim w całej pełni zamiar zabawy w niewinny flircik, jaki wprowadziłby w teraźniejsze monotonne jego życie pewną pociągającą rozmaitość. Trzymany zdala od domu nadleśniczego, pozostawiony wyłącznie pracy, objętej instrukcją, od kilku już miesięcy, t. j. od czasu przyjazdu w te strony, nie miał sposobności zetknięcia się z ludźmi, z jakimi mógłby parę zdań wymienić. Serja nowych praktykantów jeszcze nie przybyła, całych więc 24 godzin na dobę pozostawiony był samemu sobie.

Nie stworzony na Robinzona, nie umiał sobie wystarczyć, książek nie znosił, te bowiem przypominały mu skrypta, jakie w ostatnich czasach obrzydziły mu życie, do pióra zaś miał wstręt od dziecka. Dziś właśnie trafia się taka łatwa sposobność zabawy i zabicia nudów, gdyby tylko ta Zosia była trochę domyślniejsza.

Od czasu do czasu widuje co prawda zdaleka córy nadleśniczego, ale w myśl nierozumnej — zdaniem jego — obowiązującej instrukcji dla praktykantów, nie wolno mu wiedzieć o ich istnieniu. Nie byłby jednak sobą, gdyby nie potrafił uśpić czujności papy i mamy i kilkakrotnie już niby niechcący spotkać na swej drodze młodszą córkę Marję, ale paniczny strach przed następstwami na wypadek tego, jakby zareagował taki nieobliczalny człowiek, jak nadleśny, gdyby go spotkał z córką sam na sam, odbierał mu wszelką swobodę i chęć nawiązania bliższych stosunków. Zresztą młoda niewiasta ta zdawała mu się tak apatyczną i trudną do rozmowy, że, przekonawszy się o tem, zaniechał wszelkich w tym kierunku kroków.

(c. d. n.).

Nadesłane.

Prywatne lasy na Kresach Wschodnich.

Podróżując, mało kiedy spotykałem tak obszerne lasy prywatne, tak zapomniane i pozostawione same sobie, jakby nie należały one do nikogo i nie dawały żadnych dochodów, jak u nas na kresach wschod-

nich. A przecież zapas drzewny tych lasów jest olbrzymi, i możnaby całe państwo w materjały drzewne zaopatrzyć, byleby gospodarkę inaczej poprowadzić i odpowiednio wyzyskać.

Lasy przeważnie sosnowe, w dolinach rzek Prypeci, Łani, Horynia, olszowe z domieszką dębu, jesionu, brzozy, są w niezłym stanie, rosną wyśmienicie, tylko pewnej opieki potrzebują, a tej, niestety, nie mają. Właściciel dąży tylko do sfinansowania materjału drzewnego, ażeby pewien kapitał uzyskać i na tym się dla niego kończy, o jakiejkolwiek gospodarce — nie myśli, powiada, że las i tak wyrośnie, nie potrzeba naturze pomagać. Żeby jednak tylok dali spokój, to rzeczywiście za kilka lat byłyby zagajniki, ale lasy obciążone są serwitutami, włościanie pasą bydło po całym lesie, co doprowadza go do kompletnej ruiny.

W mało którym majątku są zlikwidowane serwituty. Chłop się broni likwidacji, wolałby nie jedno stracić, aniżeli odstąpić od tak wygodnych dla niego serwitutów. Przecież, kiedy dzisiaj może utrzymać 20 sztuk bydła, to po zlikwidowaniu będzie może mógł 3 sztuki uchować — tego się obawia. Jak śmieszne są określenia tych serwitutów, przytoczę niektóre dane: otóż w jednym majątku, który posiada kilkadziesiąt tysięcy ha, jest tak powiedziane, że włościanie posiadają prawo pasania bydła, w odległości na ryk krowy, od osady, lub pewnej polanki. Ponieważ tych polanek jest bardzo dużo, więc pasą po całym lesie, bo wszędzie krowy słychać. Bydło pędzą wszędzie, czy las wycięty, czy jeszcze stoi, bydło wyżera młodniki, nie dopuści do kiełkowania nasienia, obżera wierzchołki dębu, jesionu, jednym słowem, przyczynia się do za zamieniania lasu, w halizny. Dużą pomoc przy pracy niszczenia, dają pastuszkowie, którzy, wychodząc z bydłem, zabierają ze sobą siekiery, noże, a w lesie z nudów korują drzewa i to do wysokości dwóch metrów, nadcinają brzoży, ażeby mieć sok do picia, wybierają jajka ptasie, jak cietrzewi, głuszców, kaczek i t. d., ale najważniejszym jest zakładanie ogni, które po krótkim czasie opuszczają, ażeby iść za bydłem, co powoduje pożary leśne, rozciągające się rok rocznie na kilkadziesiąt ha, przyczem giną zagajniki, młodniki, a nawet i stary las. Zdarzało mi się, że widząc pożar leśny, zawiadomiłem gajowego, który o kilkaset kroków mieszka, a ten mi na to odpowiedział, że on sam zgaśnie. O lasy w tych stronach nikt się nie troszczy i lasy nikną, a przecież pokrywają przestrzeń w samym powiecie Łuninieckim przeszło 360.000 ha, co, jak mi się zdaje, stanowi dość poważną powierzchnię.

Już sama wojna wyniszczyła dużo lasu, tak, że dzisiaj, jadąc koleją, na dwa km. z prawej i z lewej strony stoją tylko ostatki dawnych lasów; dalej od środków komunikacyjnych spotyka się jeszcze dobre lasy, olcha miejscami do 60 cm. grubości, dąb 70, 90 cm., a nawet okazy

dochodzą do dwóch metrów średnicy. Są to tylko zabytki i one znikną niedługo i pozostanie tylko po lesie... Polesie. Jak nadmieniałem, troska o las ze strony obywateli, jest mała, sami uważają las, jako kopalnie złota, o siłach fachowych, któreby zatrudniali, mowy niema, a nawet i nie fachowców się nie spotyka, warto nadmienić tylko majątek Agorikowa, który liczy przeszło 100.000 ha lasu, a zatrudnia 2 leśniczych i kilkudziesięciu gajowych, co bezwzględnie nie jest wystarczające. Gospodarkę prowadzi firma Heller i stara się tylko o swój interes, a nie o dobro lasu. To samo dzieje się z innymi majątkami. Są to smutne rzeczy, ale prawdziwe.

Wrotniak.

*

Kto winien?

Przeglądając statystykę członków Związku Zawodowego w Rzeczypospolitej Polskiej za rok 1926, ogłoszoną w dodatku do „Lasu Polskiego" i „Ech leśnych" za marzec r. b., z przykrością zauważyłem zupełne niezainteresowanie się gajowych Lasów Państwowych Związkiem Zawodowym.

W oddziale Polesko-Białowieskim, na 800 gajowych, pracujących na terenie Lasów Państwowych, do „Związku" należało tylko 25, a mianowicie:

w Nadleśnictwie Browskiem — 22,
w innych nadleśnictwach — 3.

Podobne zjawisko, może w mniejszym stosunku, daje się zauważyć i w innych oddziałach. Prosiłbym o podjęcie polemiki w tej sprawie na łamach „Ech leśnych", kto winien w tej rażącej opieszałości.

Czy administracja nadleśnictw, która nie zdołała wyjaśnić gajowym znaczenia „Związku", czy też gajowi, którzy przez niechęć lub niezrozumienie nie pokładają do tak ważnej i niezbędnej organizacji zaufania.

Związkowiec.

Od Redakcji.

Wynik ankiety.

W majowym numerze „Ech Leśnych" rozesłano Czytelnikom kwestjonarjusz dla wypowiedzenia swej opinji, w jakim duchu powinny być „Echa Leśne" w przyszłości redagowane, aby naprawdę stały się

niezbędne, w codziennem szarem życiu przeważnej jego części prenumeratorów?

Odpowiedzi napływały skąpo, a często szły w kierunku zupełnie odmiennym od postawionych pytań. Bardzo wielu wypowiadało się za rozszerzeniem objętości pisma, przy równoczesnem podniesieniu warunków prenumeraty. Bardzo wiele było odpowiedzi zbiorowych, dochodzących do trzydziestu podpisów, poddających w wątpliwość podobną jednomyślność tak trudną w dzisiejszych czasach w naszem społeczeństwie.

Byli i tacy, który domagali się oprócz prowadzenia działu politycznego ogólnego, oświetlania polityki poszczególnych klubów sejmowych. Pomijając te drobne odchylenia od postawionych pytań, możemy na podstawie otrzymanych odpowiedzi podać poniżej wynik głosowania, jaki przedstawia się następująco:

Za zmianą w redagowaniu pisma wypowiedziało się 85% przeciwko 15%, głosujących za utrzymaniem go w dotychczasowych ramach.

Za rozszerzeniem działu fachowego wypowiedziało się tylko 49% przeciwko 51%, a natomiast za uwzględnieniem różnych gałęzi gospodarstwa wiejskiego 55% przeciwko 45%.

Za utrzymaniem działu literackiego głosowało 65% przeciwko 35%.

Ostatnie pytanie wzburzyło i wywołało gorące protesty ze strony biorących udział w głosowaniu, którzy przewidują, że z momentem wprowadzenia polityki do pisma, wydawanego przez Związek, siłą tego samego faktu, bezpartyjny dziś Związek, otrzyma zabarwienie, niepożądane dla dalszego rozwoju organizacji.

Podając naszym Czytelnikom rezultat ankiety, dodajemy ze swej strony, iż w przyszłości będziemy się starali dostosować do wypowiedzianej tą drogą opinji.

Wydawca: Związek Zawodowy Leśników w Rzeczypospolitej Polskiej w osobie prezesa Związku Adama Schwarza.

Zakł. Graf. „NASZA DRUKARNIA", Warszawa, ul. Sienna № 15.